

Kogut kontra Lew

22 lutego 2015

– Jak Francuz popełnia samobójstwo? – Strzelając 15 centymetrów ponad własną głową. Tylko tak może trafić prosto w swój kompleks wyższości.

To jeden z tysięcy dowcipów, które Anglicy opowiadają o sąsiadach z drugiej strony kanału La Manche. Mój ulubiony, co – jak sądzę – może mieć związek z tym, że pracowałem w Harrodsie, Selfridges i Hamleysie, które Francuzi odwiedzają tłumnie i zawsze udają, że angielskiego nie znają, brzmi tak: „Jak nazywasz kogoś, kto mówi trzema językami? Mówią, że jest trójjęzyczny. A dwoma? Dwujęzyczny. Jednym? Francuz”.

Dumni, na 15 centymetrów ponad swój wzrost, potomkowie Gallów nie pozostają zresztą dłużni i z wielkim zacięciem wyśmiewają np. brytyjską oziębłość: „Na bezludnej wyspie rozbił się samolot. Wypadek przetrwało trzech Hiszpanów, trzech Francuzów i Anglik. Pół roku później jeden Hiszpan zabił drugiego i żyje z Hiszpanką. Troje Francuzów zdecydowało się żyć w trójkącie. Anglik nadal czeka, by ktoś przedstawił go reszcie”. Ale na cel biorą też: brak umiejętności łóżkowych – choć to tyczy się chyba czasów bardzo dawnych, bo co by nie mówić, ostatnio na Wyspach to nie wstrzemięźliwość jest problemem; kuchnię – o co nie jest trudno, bo mince pie prosi się sam; i urodę wyspiarskich kobiet.

Żartują: „Jak w Anglii mówią na piękną kobietę? Turystka”.

HASTINGS 1066

Źródło sąsiedzkiej niechęci tkwi, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, w skomplikowanej historii wzajemnych relacji. Przez ostatnie tysiąclecie Anglicy wojowali z Francuzami 35 razy, co daje średnią ponad trzech wojen na stulecie. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że ostatni raz zdarzyło się to 200 lat temu – w czasie wojen napoleońskich – to trzeba liczbę średnią

nieco podwyższyć. Jednak nie o same wojny tutaj chodzi. Raczej o to, że jedną – pierwszą z nich – Wyspiarze przegrali z kretelem, do czego historia ich nie przyzwyczaiła.

„Nawet we współczesnych czasach (np. w inspirowanej wojnami propagandzie XX wieku) kultywowaliśmy przekonanie, że Brytania nie może być podbita; potężne siły, takie jak hiszpańska Armada, machina wojenna Napoleona i Luftwaffe – mówiliśmy sobie – nie potrafiły złamać naszej zdezelowanej, ale sprytnej obrony. Indoktrynacja pozostawia fałszywe, ale wyraźne wrażenie, że nigdy nie zostaliśmy najechani. Co więcej, słynna odmienność Brytyjczyków jest często przypisywana temu, że inaczej niż nasi kontynentalni przyjaciele nie mamy żadnych wspomnień o obcej okupacji. Ale to oznacza tylko tyle, że nasza pamięć jest krótka i zawodna, ponieważ nasza wczesna historia jest zupełnie inna” – pisał Robert Winder w „Bloody Foreigners”.

Inna, bo Anglia przez kilka stuleci była pod obcą okupacją. Wszystko zaczęło się w 1066 r., który jest – to Norman Davies – „wryty w świadomość współczesnych Anglików jak żadna inna data w historii”. (Choć, trzeba to podkreślić, nie musi to wcale znaczyć wiele, bo mało jest historycznych dat, które żyją w świadomości współczesnych Anglików). Doszło wtedy do bitwy pod Hastings, uważanej za jedną z najważniejszych w dziejach świata, od której zaczęła się ostatnia okupacja Wyspy. Jej autorami byli Normanowie, o których dziś częściej myśli się kategorią „Francuzi”. Nie na darmo Wilhelm Zdobywca, przez Anglików nazywany William the Conqueror, mówiłby dziś o sobie raczej Guillaume le Conquérant. Używał zresztą normańskiego.

ANGELETERRE

Okupacja, która rozpoczęła się od Hastings, umocniła się w kilku kolejnych latach, gdy Normanowie podporządkowali sobie całą Anglię i zaprowadzili w niej wzorcową administrację kolonialną, wprowadzając rozwinięty feudalizm (Angleterre

uchodziła za jego wzorzec), w którym rolę panów zarezerwowali dla siebie. Ten podbój nie skończył się bowiem masową migracją i zaprowadzeniem swojej kultury w podbitym kraju, a jedynie przejęciem szczytów władzy i zadbaniem o to, by pieniądze płynęły do właściwych rąk i we właściwym kierunku. „Twierdzi się czasami, że Zdobywca zamierzał pozostawić staroangielski ład w nienaruszonym stanie. Jeśli rzeczywiście tak było, to wybuch licznych powstań szybko go zniechęcił. Tak czy inaczej, horda normańskich, bretońskich i flamandzkich rycerzy oczekiwała nagrody za swe trudy” – pisał Norman Davies. I otrzymali ją. Wprawdzie na Wyspę przybyło wtedy zaledwie 10 tys. Francuzów, co nie stanowiło nawet 1 proc. populacji i była to nawet liczba mniejsza, niż kiedy swoją administrację ustanawiał tam Rzym, ale przybysze stali się – to Wilder – „crème de la crème społeczeństwa”.

Wzięli dla siebie wszystkie najważniejsze stanowiska i synekury. „Przybyli jako lub zostali na miejscu biskupami, baronami, możnymi i magnatami” – pisał Wilder i wymieniał ich, niezbyt angielskie, nazwiska: Hugh d’Avranches, De Mendeville, Vere, Peverel itd. Po 20 latach 1/3 królestwa znajdowała się w rękach 180 przybyłych z Francji możnych. Także angielski kościół w zasadzie w całości znalazł się w ich rękach – z 16 biskupstw dzierżyli 15. Wiele mówią też nazwiska kolejnych władców Anglii: Guillaume le Roux, Henri Beauclair... Jest również i tak, że wśród „Francuzów” znajdują się nawet postacie uważane w Anglii za bohaterów narodowych. Oto w „Ivanhoe”, pozycji będącej absolutnym klasykiem wyspiarskiej edukacji, Ryszard Lwie Serce mówi o sobie tak: „Nie, szlachetny Cedryku, nie Andegaweński, ale Angielski. Ryszard, król Anglii, któremu jak najbardziej zależy na zgodzie między jej synami i który niczego bardziej nie pragnie”.

W rzeczywistości jednak człowiek, którego tytułowano Richard Coeur de Lion, raczej tak nie mówił. Tak samo zresztą jak i jego brat Jean sans Terre.

To Francuzi zbudowali angielską arystokrację. I zostali nią do

dziś – rodowód pięciu z siedemnastu angielskich książąt wciąż da się wywieść z tamtych czasów. Warto wspomnieć i to, że nie była to okupacja, która specjalnie ceniłaby miejscowych. „Obcokrajowcy bogacili się na angielskiej ziemi, podczas gdy jej własni synowie byli bez wstydu mordowani lub zmuszani do przybrania roli wygnańców i beznadziejnego krążenia po obcych królestwach” – pisał William z Poitiers, mnich żyjący w XII wieku. Jednych i drugich oddzielał od siebie nawet język. Dwór i administracja były całkowicie normańskie. Staroangielski pozostawiano tym, których uważano za plebs. Tak było przez stulecie z okładem, w czasie którego powstał podział na „my” i „oni”. Przez kolejne sto lat różnice zaczęły się rozmywać – zwłaszcza gdy francuscy władcy Anglii zaczęli zdobywać niezależność od kontynentu – ale na dobrze ugruntowaną niechęć to już specjalnie nie pomogło. Przez kolejne stulecia karmiła się ona sama, a stereotypy rozkwitały.

AZINCOURT – ANGIELSKI GRUNWALD

W wydanej kilka lat temu książce Bernarda Cornwella, która nosi tytuł „Pieśń łuków. Azincourt” i traktuje o bitwie z 1415 r., dla Anglików znaczącej mniej więcej tyle co Grunwald dla Polaków – z tą tylko różnicą, że rolę Krzyżaków wzięli na siebie – jakżeby mogło być inaczej – Francuzi, jeden z głównych bohaterów powieści Sir John Cornweil tak zagrzewa do boju swoich łuczników: „To dlatego, że Bóg ma głowę na karku i wie, że popełnił błąd, stwarzając Francuzów, teraz posyła nas do Francji, abyśmy ten błąd naprawili! Jesteśmy narzędziem Boga i skończymy z tym diabelskim pomiotem!”.

Samo Azincourt należy do najchętniej wspominanych przez Anglików historycznych wydarzeń. Nie dość bowiem, że wygrali, to zwycięstwo przyszło w wyjątkowych okolicznościach. Bitwa rozegrała się na ziemi wroga, siły angielskie były znacznie mniejsze, a o wyniku zdecydowała ogromna sprawność łuczników, którzy wywodzili się z prostego ludu Anglii i w trakcie bitwy (doszło tam do rzezi jeńców) zabili niemal połowę ogólnej liczby męskiej części francuskiej szlachty. Pod Azincourt

zaginał też słynny sztandar bojowy królów Francji – Oriflamme. Niewiele brakło nawet do tego, by Henrykowi V udało się stworzyć potężną monarchię angielsko-francuską. To się jednak nie udało, bo 7 lat później umarł na czerwonkę.

W kontekście późniejszych wzajemnych relacji istotne jest jednak przede wszystkim to, że Azincourt był wstępem do wojny, która rozegrała się 15 lat później. W jej trakcie Anglicy m.in. zajęli Paryż oraz schwytali, skazali za herezję i spalili na stosie ustawionym w Rouen Joannę d'Arc.

O ile zaczęta pod Hastings okupacja była tym historycznym wydarzeniem, które zapoczątkowało niechęć Anglików do Francuzów, to stos rozpalony dla Dziewicy Orleańskiej – ta później stała się symbolem odrodzenia narodowego, a także nieoficjalną świętą patronką Francji – stoi za rozwojem tej żywionej przez Francuzów wobec Anglików.

ODWAŻNY JAK FRANCUZ?

Wydarzenia sprzed 1000 i 600 lat nie tłumaczą oczywiście tego, co działo się później. Choćby dlatego, że już nawet samo uważanie Normanów za Francuzów można podać w wątpliwość, ale też z wielu innych powodów. Trzeba im jednak oddać to, że tłumaczą, w jaki sposób skomplikowane sąsiedzkie relacje przybrały taki, a nie inny kształt i na dobre zadomowiły się w kulturze, tworząc stereotypy i każąc spoglądać na sąsiadów z dużą podejrzliwością. A bliskość granic – no bo z kim jak nie z sąsiadami walczyć, gdy w grę nie wchodzi podróż nie tylko lotnicze, ale nawet dalekomorskie – doprowadziła do tego, że w sumie rozegrało się 35 wojen angielsko-francuskich, których wprawdzie niemal nikt już jednak nie pamięta, ale dobrze na stosunki wpływać nie mogły. Przez lata zebrało się zresztą wiele innych powodów do wzajemnej niechęci.

„Telegraphowi” tylko współczesnych udało się wyliczyć aż 30. I to jedynie ze strony Anglików, bo Francuzi – wiadomo – mają swoje. Wśród tych angielskich są m.in. takie: bo nie potrafią

grać w rugby i zawsze z nimi wygrywamy; bo Napoleon był agresywny; bo uprawiają seks częściej niż my; bo mają fatalną obsługę klienta, a „syndrom paryski” jest medycznie uznaną formą depresji, która w stolicy Francji dopada turystów narażonych na – patrz początek zdania – fatalną obsługę klienta i powszechną niechęć; bo nie mają poczucia humoru (mówił o tym nawet Gerard Depardieu, a kto może wiedzieć lepiej); bo kantują na winie i algierskie sprzedają jako francuskie; bo mają najlepszą publiczną opiekę zdrowotną na świecie; bo nie zmieniają bielizny; bo sikają na chodniki itd.

Z kolei lista powodów, dla których Francuzi nie lubią Anglików (to „Financial Times”), jest taka: bo wygrywają z nami w rugby (patrz pozycja 1. na poprzedniej liście); bo ich jedzenie to zbrodnia popełniana na kuchni; bo zabili Joannę d’Arc i Napoleona (sic!); bo kupują francuskie zamki; bo angielski stał się ważniejszy niż francuski, a francuski jest ładniejszy itd.

Ostatnio jednak stosunki ulegają ociepleniu. Być może dlatego, że przez ostatnie 200 lat jedni i drudzy częściej biją się razem przeciwko Niemcom niż ze sobą. Ten sojusz też odbija się na wzajemnym postrzeganiu. Zwłaszcza jeśli chodzi o wyobrażenia na temat siły francuskiego oręża i noszących go ludzi. – Ilu Francuzów trzeba, by obronić Paryż? – pytają Anglicy i odpowiadają. – Nie wiadomo. Nigdy tego nie próbowano.

Autorstwo: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)